Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 229 (Rok XIII, Nr 15) | 1 sierpnia 1953 | Cena (Price) 1/6

DRUGI KROK

SPRAWA zjednoczenia politycznego emigracji posunęła się o poważny krok naprzód, ale nie została zakończona.

Gen. Sosnkowski nie wyjechał z próżnymi rękami po drugim swoim pobycie w Anglii. Po pierwszym pobycie odjeżdżał z poważnym sukcesem. Sprawcami tego sukcesu były główne stronnictwa polskie, które wykazały wielki umiar i zgodność, przyjmując jednomyślnie kandydaturę gen. Sosnkowskiego na przyszłego prezydenta. Gdy gen. Sosnkowski wyjeżdżał w zimie pozostawała do załatwienia ogromna dziedzina sporna między głównymi stronnictwami a ośrodkiem rządowym, to jest zagadnienie jak ma być wykonywana konstytucja w warunkach emigracyjnych: w jaki sposób ma być powoływany rząd i przedstawicielstwo polityczne, jak ma prezydent wykonywać tak zwane prerogatywy osobiste przyznane mu przez konstytucję 1935 r.

Ogromna większość tych spraw została omówiona i uzgodniona w czasie drugiego pobytu gen. Sosnkowskiego w Anglii. Pozostały nieuzgodnione dwie tylko sprawy pozornie mniejszego znaczenia od spraw ustrojowych, ale bynajmniej nie nieważne, a mianowicie sprawa stosunku do tak zwanych jałtańczyków i sprawa ostatecznego składu Rady Jedności Narodowej.

Trzymając się nadal wyznawanej przez nasze pismo zasady, że prasa nie powinna niczym utrudniać rokowań prowadzących do uzdrowienia stosunków politycznych na emigracji, nie chcemy wszczynać dyskusji ani nad trafnością lub nietrafnością przyjętej procedury rokowań, ani nad meritum pozostałych punktów spornych. Uważamy, że istnieje szansa ich uzgodnienia, a polemiki prasowe mogą ją wydatnie zmniejszyć.

Musimy przecież sprostować pewne fałszywe wrażenia, szerzone częścią może bez złej woli, ale częścią i z pełną świadomością przez szkodników, dotyczące sprawy punktu piątego projektu aktu zjednoczenia.

Nie była, ani nie jest przedmiotem sporu żadna propozycja przyjmowania do Rady Jedności Narodowej p. Mikołajczyka, albo któregokolwiek z jego towarzyszy z „Polskiego Narodowego Komitetu Demokratycznego“. Nie była, ani nie jest przedmiotem sporu sprawa stosunku do umów jałtańskich. Przedmiotem sporu jest projekt zamieszczenia w akcie czy przy akcie zjednoczenia deklaracji, że od zasiadania w Radzie Jedności Narodowej a także w stronnictwach w jej skład wchodzących wykluczeni są na zawsze ludzie, którzy uznali Jałtę przebywając na Zachodzie i zajmując odpowiedzialne funkcje polityczne, bez względu na to czy stanowisko to później porzucili lub porzucą.

Jałta nastąpiła w początkach r. 1945. Odpowiedzią ze strony polskiej na Jałtę było obalenie rządu Mikołajczyka i powołanie rządu Arciszewskiego opartego o dwa najstarsze i najsilniejsze stronnictwa polskie: narodowców i socjalistów. Był to czyn polityczny i zaraz, a nie deklaracje po ośmiu i pół latach.

Trzeba pilnować, by działalność emigracji polskiej była polityką a nie politykierstwem.

OD REDAKCJI

W połowie października „Myśl Polska“ w sposób trwały uczcić pragnie sześćdziesięciolecie powstania Ligi Narodowej. Zamierzamy wydać NUMER PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI Z WKŁADKĄ ILUSTRACYJNĄ. Poza materiałem bieżącym i historycznym chcemy dać również możliwie najwięcej podobizn działaczy Ligi Narodowej, krótkich życiorysów i scen ilustrujących historię tej organizacji.

Aby nie obciążać Czytelników naszych dodatkowym kosztem związanym z wydaniem tego numeru, postanowiliśmy więc dostarczyć go każdemu w ramach zwykłej prenumeraty, natomiast zrobić krótką przerwę wakacyjną w sierpniu.

W związku z tym następny po niniejszym numer „Myśli“ WYJDZIE W DNIU 1 WRZEŚNIA w normalnej objętości, podobnie numery z 15 września i 1 października, natomiast numer na 15 października ukaże się w podwójnej objętości i w ozdobniejszym wydaniu.

„ODPRĘŻENIE“

Najlepszym dowodem jak przedstawiciele Sowietów wyobrażają sobie odprężenie w stosunkach międzynarodowych jest tekst ich noty do Turcji wysłanej w maju, a ogłoszonej niedawno. Sowiety, czytamy tam, zrzekają się pretensji do kontroli Dardaneli, do Karsu i Ardahanu „dla zachowania i umocnienia pokoju oraz bezpieczeństwa“. Na pretensje sowieckie Turcja odpowiedziała bardzo ostrożnie choć stanowczo, odcinając się od propozycji dwustronnych rozmów z Moskwą w sprawie obchodzącej znaczną część świata, a najwięcej samą Turcję nie zaś Sowiety. Dobre serce wyrzekające się niedokonanych podbojów nie zostało osłabione inną częścią noty

sowieckiej zapominającą o pretensjach do ziemi tureckiej w imieniu republik gruzińskiej i ormiańskiej.

Podobne stanowisko zajmują bolszewicy na Korei, ustępując z pretensji do podbicia południowej części półwyspu, której przez dwa lata nie udało im się zagarnąć. To tak jak w słynnej bajce, gdzie lis zrezygnował z wysoko wiszących winogron, gdyż twierdził, że są... zielone. Podobnie dalej wyglądają ustępstwa w krajach okupowanych. Na Węgrzech ogłoszona naprzód szumnie, że chłopom wolno występować z kołchozów. Ta furtka wolności otwarta była jednak zaledwie przez tydzień, ponieważ dokładnie w osiem dni po wolnościowym przemówieniu Imre Nagyego przyszło wyjaśniające przemówienie Mathiasa Rakosiego. Ciągle jeszcze chwaląc swobodę indywidualnego chłopa powiedział on, że kołchozy są jedyną drogą dla rolnictwa. W tydzień po tym przemówieniu radio budapeszteńskie ogłosiło wyrok więzienia na chłopa, który wystąpił z kołchozu i namawiał sąsiadów do naśladownictwa. Tak samo wyglądają koncesje w Niemczech Wschodnich, gdzie wprawdzie zezwolono uciekinierom na powrót z dobrowolnego wygnania w strefach zachodnich, ale równocześnie aresztowano dziesiątki tysięcy ludzi, czyli nowa fala ucieczek jest już za pasem.

Sowiety rezygnują więc dla pogłębienia atmosfery „odprężenia" z niektórych żądań, nie widać zaś wcale, by miały najmniejszy zamiar oddania zagrabionych zdobyczy.

GALÓWKA I CHLEB

Skończyły się przymusowe uroczystości i zamilkły krzykliwe mowy nasłanych z Sowietów administratorów Polski wmawiających w nasz naród, że rocznica przekroczenia Bugu przez wojska wschodniego sąsiada może być polskim świętem narodowym.

Dzień 22 lipca reżim obchodził, jak zwykle masowymi pochodami spędzonych przymusowo obywateli, defiladami i wiecami. Dla pokrzepienia własnych nadwątlonych czystką moskiewską nastrojów, komuniści zwołali specjalną sesję tak zwanej Polskiej Akademii Nauk, która m. i. uchwaliła im posłusznie, że przeszłoroczna konstytucja jest milowym krokiem na drodze do postępu, a także, iż czasy współczesne operują własnym, nowoczesnym pojęciem suwerenności państwowej, odmiennym od pojęcia uznawanego przez „feudałów". Nie ma potrzeby wyjaśniać, co oznacza postęp a co suwerenność w żargonie panującym. Symbolicznym wyjaśnieniem było wyznaczenie towarzysza Suchoplujewa na instruktora ideowo-kulturalnego w jednej z kopalń śląskich w zeszłym miesiącu. W tym jednym nazwisku jest wszystko... i postęp i suwerenność.

Dla dobitniejszego uzmysłowienia obywatelom ważności daty lipcowej nakazano podejmować zobowiązania dodatkowej pracy, oczywiście bez zapłaty. Warszawscy budowniczowie zobowiązali się na rocznicę komitetu lubelskiego dokończyć pierwszej partii robót Starego Miasta, budowniczowie śląscy podjęli się uruchomienia wielkiej elektrowni w Jaworznie przed terminem, cała ludność Częstochowy została spędzona na plac budowy pieców stalowych tamtejszej huty, w Gdańsku spuszczono na morze nowe statki, po wsiach zaczęto wcześniejszą dostawę ziarna do magazynów państwowych. Wszędzie było wiele ciężkiego wysiłku, niezła miara płaszczenia się przed Sowietami i w niejednym miejscu mniejszy czy większy skandal.

Najwięcej płaszczenia się było przy otwarciu elektrowni w Jaworznie, gdzie przemawiał jeden wyszkolony w Moskwie wicepremier reżimowy, a poza nim niemal wyłącznie urzędnicy sowieccy z dygnitarzami ministerstwa telekomunikacji Sowietów na czele.

Największy skandal był w Nowej Hucie. Zebrana tu specjalnie sesja Polskiej Akademii Nauk postanowiła przeprowadzić nowe masowe badanie cech geologicznych terenu w poszukiwaniu niezauważonych dotąd wód podskórnych. Stało to się, chociaż teren był rzekomo zbadany, „przeprowadzono tysiące wierceń przed rozpoczęciem budowy kombinatu" i chociaż stoi tam już wiele masywnych, bardzo ciężkich budynków. Badania poprzednie nie zapewniły jednak tym budynkom rzeczy najważniejszej, bo mocnych fundamentów. W ten sposób na tle ogólnie panującego pośpiechu zmarnowano milionowe sumy.

Uroczystości odbyte w Warszawie charakteryzowało dodatkowe zobowiązanie produkcyjne, które nie miało mieć zasadniczego charakteru, ale nabrało go w świetle sytuacji kraju. Miejska sieć zaopatrzenia postanowiła mianowicie otworzyć szereg kiosków ulicznych sprzedających chleb podróżnym spieszącym na pociąg lub z pociągu w godzinach porannych. Otwarcie tych kiosków ma odciążyć normalne sklepy spożywcze i piekarskie położone w pobliżu dworców. Warto się zastanowić co to znaczy. Szczególnie mieszkańcom wielkich miast Zachodu może się wydać dziwna taka konsumpcja chleba w pobliżu dworców. Gdyby jednak znaleźli się w sytuacji ludzi pod władzą Wschodu, który żywią się przede wszystkim a nieraz wyłącznie chlebem, to zrozumieliby jak wygląda życie w Polsce pod rządami entuzjastów manifestu lipcowego.

NOWA HISTORIA ŚLĄSKA

We Wrocławiu odbyła się konferencja ekonomiczno - ludnościowo - historyczna poświęcona zagadnieniom Śląska, której wyniki ogłoszone w prasie komunistycznej wskazują jak daleko idzie zakłamanie komunistów w oświetlaniu szczególnie historii. Konferencja z udziałem 250 delegatów zebrała najróżnorodniejszych mówców, wśród których autentyczni naukowcy zostali zalani morzem partyjnych agitatorów, przedstawicieli PZPR-owskiego centrum historycznego i działaczy związku nauczycielstwa. Interesujące były dane o obecnej roli Śląska, oburzające kłamstwa i głupstwa na temat historii tej prastarej dzielnicy piastowskiej.

Obecne położenie Śląska charakteryzował Osmańczyk, który oświadczył, że jest tam obecnie 5.5 miliona mieszkańców, że gęstość zaludnienia osiągnęła 157 osób na km kw. oraz że dzielnica ta ma najwyższy w kraju przyrost ludności.

Przeszłość była przedmiotem wielu referatów dotyczących zarówno Śląska w historii przedrozbiorowej, jak w wiekach XIX i XX. Ostatnie dwie epoki stały się terenem największych fałszów i wypaczeń, dokonanych świadomie dla zaspokojenia potrzeb politycznych nie tylko polskiej partii komunistycznej, ale także dla podbudowania polityki sowieckiej w stosunku do Niemiec.

Komuniści nie mogą zapomnieć, że wpływy ich na Śląsku były zawsze bardzo mizerne. Denerwuje ich wspomnienie walk wolnościowych Ślązaków, prowadzonych pod przewodem Korfan-

tego w ramach tamtejszego ruchu polsko-katolickiego. Dlatego konferencja usiłowała obrzucić błotem papieża Piusa XI wysuwając twierdzenie, że „szczególnie antypolska była rola Watykanu i rzekomego „przyjaciela" kardynała Rattiego, późniejszego papieża Piusa XI, uwielbianego przez polską burżuazję". Dlatego również przedstawiono Korfantego jako „dywersjonistę w stosunku do polskiego ruchu wolnościowego na Śląsku", jako „głównego agenta międzynarodowego kapitału na tych ziemiach" i oskarżono o przyjmowanie „znacznych subsydiów od francuskich i niemieckich kapitalistów". Po tym otwartym wypowiedzeniu wojny tradycjom żyjącym wśród polskich robotników, dalszą próbą całkowitego sfałszowania historii była teza zarzucająca Ameryce kierowanie się antypolskimi uczuciami w polityce lat 1918-21. Najbardziej antypolską osobistością miał tu być sam prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson i zjazd wrocławski ze specjalnym urzędowym wzburzeniem napiętnował fakt, że człowiekowi temu „polska burżuazja stawiała pomniki w okresie międzywojennym". Nie wzięli komuniści pod uwagę, iż to stawianie pomników, często z pieniędzy społecznych nie państwowych, będzie długo podważało ich twierdzenia usiłujące przewrócić prawdę historyczną do góry nogami.

Wyraźnie niepolski charakter inspirowany aktualną polityką sowiecką, nosiły uchwały określające stosunek Niemców do sprawy Śląska. Oto uczestnicy komunistycznej masówki uznali, iż „śląska klasa robotnicza, awangarda walki o społeczne i narodowe wyzwolenie Śląska korzystała z pomocy i wsparcia niemieckiego obozu postępu i rewolucji". To brutalnie kłamliwe twierdzenie przypinające piórka sprzymierzeńców polskości na Śląsku niemieckim komunistom i lewicowcom zupełnie pomija milczeniem udział lewicy niemieckiej w walkach przeciw powstaniom śląskim, a także niemiecki nacjonalizm — żądanie KP Niemiec, by KP Polski w okresie między wojnami podporządkowała swe komórki na Śląsku komunistycznym organizacjom niemieckim.

Uchwały wysłano specjalnym listem do wschodnio-niemieckiej akademii nauk z prośbą współdziałania przy opracowywaniu „nowej, prawdziwej historii Śląska", opartej o wyniki dyskusji konferencji.

ZNAK ZAPYTANIA

NIESPODZIEWANY upadek Berii stał się na Zachodzie sensacją, która przyćmiła na kilka dni inne wydarzenia w polityce światowej. Zachodni rzeczoznawcy spraw sowieckich traktowali z powątpiewaniem możliwość rozdarcia szczytów Kremla walką o władzę po Stalinie; stanęli oni obecnie wobec niespornego dowodu tej walki, zaciętej i nieprzebierającej w środkach. Rozmiary sensacji powiększył fakt, że pierwszą ofiarą zmagań stał się człowiek, którego pozycję uważano dotychczas za niewzruszoną.

Likwidację Berii przeprowadzono według klasycznych wzorów lat trzydziestych, opracowanych precyzyjnie przez Stalina. Stalinowska metoda rozprawy z rywalami miała na celu nie tylko ich unieszkodliwianie fizyczne, lecz także dyskwalifikację ideową. Pierwsze zadanie spełniał pluton egzekucyjny, drugie — proces pokazowy. Uznanie więc Berii za zdrajcę nie świadczy bynajmniej o tym, że zapobiegliwość rządu i partii udaremniła spisek dążący do zasadniczej zmiany lub obalenia ustroju; spisek taki mógł w ogóle nie istnieć. Zarzut zdrady był po prostu chwytem technicznym, uświęconym zwyczajem i licznymi precedensami. Beria podzieli zapewne los swych poprzedników, Jagody i Jeżowa.

TRZY FILARY

Sposób rozprawy z Berią nie ma zatem w sobie, z sowieckiego punktu widzenia, nic niezwykłego. Może się natomiast wydać zagadkowe, jak Malenkow czy ktokolwiek inny z grupy rządzącej potrafili tego dokonać. Przyjmuje się zazwyczaj, że trzema filarami Związku Sowieckiego są partia, wojsko i MWD, przy czym partia stanowi czynnik formalnie nadrzędny. Członkowie partii zajmujący stanowiska w wojsku i policji, obowiązani są według statutu do bezwzględnego wykonywania uchwał jej władz i przestrzegania dyscypliny partyjnej. Wiadomości jednak przenikające na Zachód nie świadczą bynajmniej, aby wszechrosyjska partia komunistyczna była monolitem. Organizacje partyjne zwłaszcza na peryferiach Związku, zostają stale pod ogniem krytyk i samokrytyk, których długa litania rozpoczęta referatem Chruszczowa na XIX Zjeździe, ciągnie się dalej po upadku Berii. Ujawniane fakty nadużyć, protekcjonizmu i braku dyscypliny są nieraz rażące.

Czynnikiem stanowiącym o nadrzędności partii była nie tyle ideowość jej członków i dyscyplina partyjna, ile despotyczna ręka Stalina, dopóki ten żył. Śmierć jego musiała się odbić ujemnie na nadwątlonym już morale partii i wzmóc separatyzmy interesów korporacyjnych w wojsku i policji. Nadrzędność partii stała się wątpliwa. Stalin już w drugiej połowie lat trzydziestych opanował całkowicie machinę partyjną i miał w swym ręku rozległą armię GPU, swego tworu — „zbrojnego ramienia partii". Nikt z jego następców nie ma tej pozycji w partii, szefem zaś MWD (dawnego GPU) był właśnie Beria.

Rozporządzał on aparatem, który mógł rzucić wyzwanie Komitetowi Centralnemu, a może i wojsku. Miał pod swymi rozkazami 500.000 korpus bezpieczeństwa, wyćwiczoną i zdyscyplinowaną elitę wojskową. MWD było państwem w państwie, zarządzało olbrzymimi obszarami gospodarczymi Związku i „obozami pracy", sprawowało nadzór nad przemysłem wojennym, badaniami atomowymi, arsenałami i składami amunicji, mogąc w ten sposób unieruchomić wojsko. Agenci szefa policji sowieckiej przenikali wszystkie komórki partyjne i wojskowe, czuwając nad ich prawomyślnością. Olbrzymia sieć szpiegowska MWD ogarniała cały obszar imperium sowieckiego i sięgała daleko poza jego granice. „Prawda" zarzucała Berii, że obsadzał stanowiska w policji ludźmi swego zaufania bez względu na ich kwalifikacje; los tych ludzi był związany z losem ich przełożonego, dla wielu z nich upadek Berii był nie tylko końcem kariery, lecz perspektywą więzienia, a może i śmierci. Można było oczekiwać, że będą się bronili.

Niejasna w przebiegu konfliktu była postawa trzeciego filaru Związku, wojska. Marszałkowie (nie wszyscy) i dowódcy wyższych jednostek złożyli deklarację wierności Komitetowi Centralnemu dopiero w tydzień po ogłoszeniu o upadku Berii. Potrzeba takiej deklaracji, niezwykłej w stosunkach sowieckich, mogłaby tłumaczyć niepewność władz partii co do nastrojów w wojsku i jego uprzednia neutralność w konflikcie. W prasie zachodniej przeważa jednak teoria, że zamachu na Berię dokonano w przymierzu z wojskiem. Gdyby tak było, wojsko

wbrew zasadom Stalina zostałoby wciągnięte do walki o władzę, za co partia musiałaby zapłacić cenę wysoką i co więcej niepotrzebną.

Berię bowiem aresztowano, a cały jego ogromny aparat nawet nie drgnął. Nie było nie tylko zorganizowanego oporu, lecz nic nie wiadomo o żadnym głosie protestu, o żadnym choćby rozpaczliwym odruchu samoobrony. Szeroką falą popłynęły uchwały masówek, wieców i organizacji potępiające „najlepszego syna Gruzji" i wyrażające entuzjazm z powodu jego unieszkodliwienia. W tym zgodnym chórze brzmiały najgłośniej głosy ludzi, którzy Berii zawdzięczali swe kariery.

KTO PIERWSZY UDERZY

O czym to wszystko świadczy? Można by przyjąć, że Beria był niepopularny, nawet wśród swych protegowanych i podwładnych. Jego przeszłość uprawniałaby całkowicie do takiego wniosku, lecz kto właściwie z grupy rządzącej cieszy się popularnością? Popularność w zachodnim znaczeniu w Związku Sowieckim nie istnieje. Zastępuje ją kult władzy, obawa przed władzą, hołdowanie sile. Popularność w masach rosyjskich nie jest tytułem do władzy, lecz wynikiem jej zdobycia. Stalin stał się „słoneczkiem narodów" dopiero wtedy, gdy powalił swych rywali, zgasł, gdy przestał sprawować władzę. Propaganda, ten główny czynnik popularności, jest wyłącznie na usługach władcy. Zapala ona świece przed jego osobą jak przed bizantyjską ikoną; skoro władza przemija, światło się wypala.

Może zatem Beria popełnił błędy polityczne, za które potępili go partia, wojsko i nawet jego ludzie? Z artykułu oskarżycielskiego w „Prawdzie" niewiele mogli się oni o tych błędach dowiedzieć. Propaganda sowiecka od czasu śmierci Stalina podkreślała usilnie zasadę zbiorowej odpowiedzialności za politykę Związku. Jeżeli nawet Beria był inicjatorem pewnych, uznanych potem za niefortunne posunięć politycznych, to realizacja ich nie mogła się odbyć bez aprobaty rządzącego kolegium. Pogłoski o popieraniu przez niego separatyzmu ukraińskiego nie wydają się prawdopodobne: Beria mógł walczyć o władzę, lecz nie o rozpadnięcie się Rosji. Wszystko inne ma cechy zbiorowych decyzji. Złagodzenie reżimu wewnątrz Związku, amnestia, wypuszczenie na wolność lekarzy żydowskich, zwiększenie podaży przedmiotów spożycia, obniżka cen, deklaracje o prawach obywateli sowieckich, volte face polityki w Niemczech Wschodnich i na Węgrzech, częściowo w Czechosłowacji i Rumunii — wszystko to nie mogło być wynikiem działania Berii na własną rękę. Jeżeli skutki nowego kursu przyniosły pewne rozczarowania w postaci na przykład 17 czerwca w Niemczech, to kandydatem na kozła ofiarnego powinien był stać się raczej Malenkow jako szef rządu, a nie Beria.

Czy więc Malenkow ma większą władzę, niż to się na ogół przyjmuje? Nie wydaje się, aby tak było. Zachodzi kwestia co by się stało, gdyby Beria wykazał więcej sprężystości i uprzedziwszy Malenkowa pierwszy kazał go aresztować. Był on wszak w równej przynajmniej mierze co Malenkow, powołany do strzeżenia czystości szeregów partyjnych i miał w swym ręku sprawny aparat represji; jego słowo oskarżające obecnego premiera o zdradę mogło mieć tę samą wagę. Dostarczenie Komitetowi Centralnemu dowodów zaprzedania się Malenkowa agentom kapitalistycznej reakcji byłoby dla doświadczonego szefa policji rzeczą błahą. Skutek był zapewne ten sam. W „Prawdzie" mógłby się ukazać identyczny akt oskarżenia ze zmianą tylko nazwisk i megafony na całym obszarze Związku Sowieckiego ryknęłyby zgodnie, że Malenkow jest „renegatem burżuazyjnym" i „wrogiem ludu".

Premier sowiecki uderzył jednak pierwszy i Beria, jeden z trzech najwyższych dygnitarzy Związku, szef policji i marszałek armii, poszedł na rzeź jak potulna owieczka.

PRAWO DŻUNGLI

Wniosek stąd prosty. Na Kremlu rządzi prawo dżungli. O wyniku walki jaka się tam toczy rozstrzyga zręczniej rozsnuta sieć intrygi, spisek, cios nożem w plecy. Paradoksem tej walki jest całkowita izolacja walczących: zarówno elita sowiecka jak masy przyglądają się im z przedziwną apatią i obojętnością. Powaleniu każdego z zapaśników towarzyszy tradycyjny, mechaniczny rytuał jego wyklinania. Jest w tym być może coś z rosyjskiego fatalizmu. Lecz tu powstaje pytanie. Kto właściwie powalił Berię? Kto ma władzę w państwie sowieckim, którego istotą jest wszechpotęga władzy? Beria, jak się okazało jej nie miał. Czy ma ją Malenkow? Mołotow? Czy marszałkowie? A może, jak uporczywie twierdzi propaganda sowiecka, wszyscy oni razem? Lecz kto w takim razie rozstrzyga między nimi spory? Sceptrum Stalina spoczęło razem z nim w leninowskim mauzoleum. Masy sowieckie mogą zadawać sobie jeszcze inne pytanie: jeżeli najprawomyślniejsi z prawomyślnych okazują się zdrajcami, to kto jest godzien zaupfania?

Olbrzymi aparat totalitarnego państwa toczy się dalej, lecz w braku kierowniczej ręki grozi mu wykolejenie. Związek Sowiecki przechodzi kryzys władzy, cięższy od kryzysu lat trzydziestych, gdy przecież leninowskie państwo proletariatu chwiało się w posadach. Wówczas jednak Stalin, pod obojętnym okiem Zachodu, kryzys przełamał i ugruntował dyktaturę. Malenkow czy ktokolwiek inny może w sprzyjających warunkach dokonać tego samego.

Nie należy bowiem w walkach na Kremlu dopatrywać się jedynie gry namiętności i ambicji osobistych. Mogą tu odgrywać pewną rolę starcia koncepcji politycznych, choć trzeba wątpić czy koncepcje te wychodzą poza ciasne ramy doktryny stalinizmu, która jest racją istnienia rządzących i której zasadom muszą być wierni. Lecz właściwym motywem walki może być co innego: przeświadczenie, że ustrój sowiecki istnieje tylko jako dyktatura lub istnieć przestanie. Rządy kolegialne są sprzeczne z pojęciem dyktatury. W ustrojach dyktatorskich rządziły zawsze jednostki, pod firmą kolegium lub bez niej.

Walka na Kremlu toczy się więc nie tylko o władzę osobistą, lecz o przyszłość ustroju. Absolutyzm jednostki jest koniecznością historyczną w państwach opartych na ucisku. Historia Rosji jest historią jedynowładztwa, które w okresie Stalina osiągnęło swe szczyty. Lenin odziedziczył władzę carów, a Stalin podniósł ją do drugiej potęgi. Obecnie na obszarze od Łaby do Pacyfiku widnieje wielki znak zapytania.

STALINOWIEC CZY REFORMATOR

Prasa zachodnia próbowała w akcie oskarżenia Berii ogłoszonym przez „Prawdę" dopatrzyć się wskazówek co do przyszłej polityki sowieckiej. Czy upadek Berii oznacza odejście przeciwnika nowego, „liberalnego" kursu politycznego, czy też przeciwnie nawrót do metod ortodoksyjnego stali-

---

Komitet Wydawniczy „Myśli nowoczesnego Polaka", 8 Alma Terrace, Allen Street, London, W. 8, prosi pp. **K. P. Dąbrowa-Morawskiego i J. Czarneckiego** o szybkie podanie swoich aktualnych adresów.

nizmu? Lecz zarzuty „Prawdy“ są mętne i co więcej wzajemnie sobie przeczą. Akt oskarżenia zarzuca Berii, że chciał postawić swe ministerstwo ponad partią i rządem oraz że próbował udaremnić politykę przestrzegania „praw konstytucyjnych obywateli sowieckich“ i „rządów prawa“. W tej części zarzutów Beria wygląda na zdecydowanego stalinowca, lecz dalsze mówią co innego. Beria popierał „nacjonalizm burżuazyjny w republikach związkowych“ i dążył do „zastąpienia polityki opracowanej w ciągu wielu lat przez partię“ polityką „faktycznej kapitulacji przed kapitalizmem“. Tu więc b. szef policji występuje jako niebezpieczny reformator, odstępca od tradycyjnej linii politycznej partii, renegat stalinizmu.

Trud analizy zarzutów stawianych Berii jest daremny i z innych względów. Stalin po obaleniu swych rywali nie miał skrupułów w przejmowaniu ich koncepcji politycznych, wprowadzając je w życie z właściwą sobie brutalnością. Kominform, działalność piątych kolumn na Zachodzie, ujarzmienie Europy środkowo-wschodniej, cała „zimna wojna“ wreszcie — to stalinowska wersja idei, którą przypłacił życiem Trocki — idei „permanentnej rewolucji“. Dlaczego ludzie wyrośli w szkole Stalina mieliby mieć więcej pod tym względem skrupułów? Koncepcje Berii określone jako zbrodnia stanu mogą się jeszcze doczekać realizacji, jeżeli w ogóle istniały. I jeżeli pozwoli na to ogarniający szczyty Kremla paraliż władzy.

CO DALEJ?

Jaka jest postawa Zachodu wobec wydarzeń w Związku Sowieckim? Można ją określić jako postawę kontemplacji. „Wewnątrz orbity komunistycznej — pisze Walter Lippmann — rozwijają się wielkie wydarzenia, w których doniosłość wierzymy, choć nic prawie nie wiemy o nich z pewnością. Nie wiemy kto uczestniczył w pierwszym akcie dramatu, po którym zapadła właśnie kurtyna. Nie widzimy nawet samej sztuki, jesteśmy widzami w kuluarach. Nie możemy dojrzeć aktorów, ani usłyszeć co mówią. Wiemy tylko, że sztuka musi być sensacyjna, gdyż często rozlega się huk i przypuszczalnie ktoś umiera.“ Dalej publicysta amerykański przestrzega przed interwencją, zalecając bierność jako podstawę dobrej polityki. Zalecenie jest zresztą zbyteczne, gdyż nikt na Zachodzie o interwencji nie myśli. Okres słabości sowieckiej uznano jedynie za dogodny do wszczęcia rozmów o zjednoczenie Niemiec, lecz i tu poprzestano na powtórzeniu zeszłorocznej oferty, odrzuconej wówczas przez Stalina. Obie strony w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń, zajęte są na razie intensywnym dokarmianiem Niemców wschodnich. Wyzwolenie opanowanych przez Związek Sowiecki narodów pozostaje nadal w sferze pobożnych życzeń i mglistych aspiracji.

Ludzie na Kremlu niepewni swej władzy i niepewni jutra, muszą się obawiać przede wszystkim jednej rzeczy: stanowczej postawy Zachodu w żądaniu zwrotu wszystkiego, co sobie przywłaszczyli bezprawnie po wojnie. Hasło „wiernut‘ nagrablennoje“ mogłoby zabrzmieć w uszach mas sowieckich równie przekonywająco, jak niegdyś hasło rewolucji rosyjskiej „grabit‘ nagrablennoje“. Lecz Zachód dokłada starań, aby przekonać rządców Rosji, że nic im z jego strony nie grozi. A jednak czas nie czeka.

Po pierwszym akcie dramatu opisywanego przez Lippmanna, przyjdą zapewne następne. Może się też okazać w pewnej chwili, że widzowie przebywający dotychczas bezpiecznie w kuluarach i przysłuchujący się z zaciekawieniem dalekim echom wystrzałów, znajdą się nagle na widowni, a co więcej, mogą zauważyć z przerażeniem, że przestali być widzami, stali się zaś aktorami dramatu. Byłby to straszliwy moment przebudzenia.

Polityka Zachodu domaga się gwałtownie rewizji, nic jednak o tej rewizji nie słychać.

Glossator

JÓZEF WERNER

RADA JEDNOŚCI NARODOWEJ W R. 1944

Od lipca 1944 r. do połowy kwietnia 1945 r. byłem członkiem Rady Jedności Narodowej, inaczej parlamentu Polski podziemnej*), Mandat otrzymałem z ramienia Stronnictwa Narodowego na miejsce opróżnione po śmierci b. posła na sejm Józefa Milika (pseudonim Ozima), gospodarza z Podlasia, jednego z najczynniejszych i najbardziej ofiarnych w pracy posłów chłopskich, długoletniego członka naszego Stronnictwa. Jednocześnie pozostawałem nadal członkiem Prezydium Stronnictwa Narodowego. Przepisaną dla członków Rady Jedności przysięgę, podobną w treści do przysięgi składanej przez posłów sejmowych, złożyłem na ręce prezesa Rady zamęczonego później przez Bezpiekę w więzieniu w 1948 r.

*) W związku z 9 rocznicą powstania warszawskiego zamieszczamy omówienie działalności Rady Jedności Narodowej z tego okresu, pióra członka Rady p. J. Wernera.

Rada Jedności powołana do życia 7 stycznia 1944 r. była organem doradczym i opiniodawczym delegata na kraj, zarazem wicepremiera rządu polskiego przebywającego w Londynie. Bez wysłuchania jej uchwał nie mogły zapadać żadne ważne decyzje polityczne. Wchodziło do niej po trzech przedstawicieli czterech głównych stronnictw politycznych: Stronnictwa Narodowego, Polskiej Partii Socjalistycznej, Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy, oraz po jednym z trzech mniejszych, to jest Zjednoczenia Demokratycznego, chłopskiej organizacji Wolność-Racławice i „Ojczyzna“, wreszcie jeden przedstawiciel duchowieństwa katolickiego. Z powodu łatwości natrafienia przez agentów Gestapo na zebranie składające się z kilkunastu osób wyłoniona została Komisja Główna pod przewodnictwem prezesa Rady, której za zgodą Rady przysługiwały w nagłych sytuacjach uprawnienia pełnej Rady. W skład Komisji Głównej wchodzili po jednym przedstawiciele czterech głównych stronnictw oraz na zmianę, kolejno jeden z przedstawicieli mniejszych stronnictw. Zarówno przed powstaniem jak i po kapitulacji plenum Rady zbierało się rzadko. Natomiast zebrania Komisji Głównej odbywały się bardzo często. Delegat na kraj pragnąc działać w ścisłym porozumieniu ze społeczeństwem nieustannie potrzebował jej opinii i pozostawał z członkami, zwłaszcza z prezesem Rady w stałym, niemal codziennym kontakcie. Z drugiej strony stały kontakt miał on również z komendantem Armii Krajowej. W okresie dwu miesięcy powstania plenum Rady zbierało się bardzo często, z reguły w obecności delegata na kraj i jego trzech zastępców, to jest Krajowej Rady Ministrów. Dekretem bowiem rządu polskiego w Londynie od wiosny 1944

r. ci trzej zastępcy uznani zostali za ministrów, a delegat za wicepremiera. W plenarnych posiedzeniach Rady brali również prawie zawsze udział przedstawiciele wojska, komendant AK gen. Bór i komendant okręgu wojskowego Warszawa Miasto gen. Monter. Posiedzenia były jak gdyby w zmniejszeniu posiedzeniami sejmu z udziałem rządu i wojska. Były one często dramatyczne, gdy tam niejako ucieleśniony majestat Rzeczypospolitej — reprezentanci narodu, rządu i wojska obradowali częstokroć przy huku bomb rzucanych z samolotów niemieckich na kamienice znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie, parokrotnie zaś na tę samą kamienicę, gdzie odbywały się narady. Pamiętam zwłaszcza dwa takie posiedzenia. Jedno przy ulicy Przeskok 4 pod koniec sierpnia i drugie w okolicy ulicy Kruczej i Piusa około połowy września, gdy w czasie obrad od wstrząsów wywołanych uderzeniami bomb tynk odrywał się grubymi kawałkami z sufitu, gęsty kurz zaciemniał całkowicie niemal widoczność w pokoju i zarysowały się ściany. Groziło nam w każdej chwili zawalenie się domu. Członkowie Rady Jedności i Rady Ministrów spokojnie wstawali i opuszczali na chwilę pokój. Po opadnięciu kurzawy z powrotem zasiadali. Pewnego rodzaju tragedią dla Rady Ministów i Rady Jedności był fakt, że decyzja wybuchu powstania zapadła 31 lipca 1944 r. bez ich udziału, na linii Mikołajczyk — sztab gen. Bora — delegat na kraj. Prezes Rady Jedności o decyzji delegata na kraj powziętej na wniosek sztabu dowiedział się na parę godzin przed wybuchem powstania, a członkowie Rady Ministrów i Rady Jedności wtedy dopiero, gdy na ulicach zagrzmiały strzały (5 po południu 1 sierpnia 1944 r.).

Kiedyś historia wyda sąd odnośnie tej decyzji, dziś jeszcze wydaje się za wcześnie wygłaszać o niej ostateczne wyroki. Gen. Bór, komendant AK w książce swej „Armia podziemna" na stronie 191 pisze: „Na skutek niedostatecznego informowania kraju przez rząd polski w okresie gdy premierem tego rządu był Mikołajczyk o ogólnej sytuacji politycznej, a przede wszystkim o zmianie stanowiska sprzymierzonych do sprawy polskiej wobec agresywnej polityki Kremla, czynniki odpowiedzialne w kraju żyły w „świecie złudzeń". Panowała powszechna wiara w poparcie naszych interesów przez mocarstwa zachodnie. Nie zdawano sobie bowiem sprawy z tego, jak daleko szła już w tym czasie ustępliwość Anglosasów w stosunku do żądań sowieckich kosztem Polski i jej spraw najżywotniejszych. W tym stanie rzeczy nie widzieliśmy innego wyjścia, jak prowadzenie walki z Niemcami aż do pełnego zwycięstwa aliantów". Powzięcie tak brzemiennej w skutki decyzji przypadło delegatowi i komendantowi w niezmiernie skomplikowanej i trudnej sytuacji. Ale byłoby dla nich na pewno lepiej, gdyby odpowiedzialnością w tym niesłychanie dramatycznym momencie podzielili się z przedstawicielami wielkich stronnictw, reprezentujących najszersze sfery opinii publicznej, opartych o silne, w narodzie zorganizowane żywioły polityczne.

Mam wiele danych, które nie czas jeszcze publikować, że decyzja Komisji Głównej Rady Jedności wypadłaby wówczas negatywnie i historia potoczyłaby się nieco inaczej, zaoszczędzając Polsce wiele dziesiątków tysięcy żyć ludzkich.

W tym stanie rzeczy jednak jaki wytworzył się po wybuchu powstania, przywódcom stronnictw przypadł w udziale już tylko jeden program: jak najściślejsze zespolenie się z rządem krajowym. Armią Krajową oraz jak najbaczniejsze czuwanie nad tym, aby dalsze decyzje nie doprowadziły do rozbicia się naczelnych władz narodu w kraju lub oderwania się polityki Polski podziemnej od polityki polskiej w świecie. Chodziło o niedopuszczenie do zamętu i anarchii, o jednolity front wobec Niemców i komunistów. Te zadania Rada Jedności podczas powstania i po kapitulacji do czasu rozwiązania się w lipcu 1945 r. niewątpliwie uczciwie, sumiennie i z godnością wykonała. W ciężkich chwilach zmagań z Niemcami była wśród narodu i wojska i razem z nimi ręka w rękę współpracowała, krzepiła ducha. Była łącznikiem między narodem, a zorganizowaną emigracją i znajdującą się w Londynie główną reprezentacją państwa z prezydentem Raczkiewiczem na czele. Nie jątrzyła, ale wprost przeciwnie godziła tarcia polityczne, klasowe, partyjne czy osobiste. Dla przyniesienia ulgi wziętemu do niewoli wojsku i ludności stolicy gotowa była w chwili kapitulacji, gdyby Niemcy tego zażądali pójść w komplecie do niewoli, niosącej może nawet śmierć. Niemcy jednak takiego warunku przy kapitulacji nie postawili, choć można było się tego spodziewać.

Myślę z czystym sumieniem o spełnieniu wszystkich w tym czasie naszych obowiązków tak przez kolegów z mego Stronnictwa jak i wszystkich innych stronnictw reprezentowanych w Radzie.

Gdy powstanie padło, w pojedynkę przechodziliśmy przez Pruszków i Ursus, by bezzwłocznie poza Warszawą zreorganizować na nowo władze polityczne w całej reszcie Polski, zajmowanej wówczas jeszcze przez Niemców. Odbyliśmy w grudniu 1944 r. w przepełnionym żandarmerią i Gestapo Piotrkowie duży, tajny zjazd członków Rady, rządu krajowego i komendy AK. Zachowaliśmy godność narodu nie błagając o pomoc Stalina ani w czasie powstania, ani po nim. Gdy zaś w marcu 1945 r. delegat na kraj i prezes Rady Jedności wraz z komendantem AK oraz szeregiem członków Rady i ministrami uważali, że są zmuszeni ujawnić się i wejść w pertraktacje z Rosją Sowiecką dla ułożenia jakiegoś tymczasowego współżycia, uczynili to z całkowitym zachowaniem honoru i godności wymaganej od przedstawicieli wielkiego narodu. Co najważniejsze — wykazaliśmy, że w ciężkich chwilach dla państwa główne historyczne stronnictwa polityczne są w stanie zapomnieć o dzielących je różnicach i w zjednoczeniu współdziałać.

Osiągnięte w latach 1942-45 zjednoczenie głównych stronnictw i ich organizacji wojskowych, to piękny testament polityczny Rady Jedności Narodowej. Sądzę, że rzetelnie i gorliwie spełniła swoje obowiązki i że naród zachowa o niej życzliwe wspomnienie.

BELLOC

JOSEPH Hilaire Pierre Belloc urodził się 1870 r. w St. Cloud pod Paryżem, z ojca francuskiego prawnika, ożenionego z Angielką. Studiował w Balliol College (Oxford). Ukończył uniwersytet w 1895 r. W tym samym czasie wydał pierwszy zbiór wierszy. Służył w artylerii francuskiej. W 1903 r. przyjął obywatelstwo brytyjskie. Jako liberał reprezentował swą partię od 1906 do 1910 r. w Izbie Gmin. Był czołowym polemistą katolickim i swym talentem przyczynił się do stworzenia nowej grupy literackiej, dzięki której można dziś nawet mówić o „modzie na katolicyzm" wśród intelektualistów brytyjskich. Chesterton, później wielki przyjaciel i współpracownik Belloca, był właściwie pierwszym jego uczniem. Obecnie, zarówno Graham Greene jak i Evelyn Waugh są spadkobiercami myśli Belloca: on nauczył młodych intelektualistów katolickich odwagi cywilnej.

Twórczość pisarska Belloca była różnorodna — od poezji i lekkiego essayu do monografii historycznych i satyr powieściowych. Jego dorobek pisarski*) obejmuje 153 pozycje (pierwsze wydania), ale wliczywszy przedruki, wybory i wstępy do innych utworów otrzymamy cyfrę 220 tytułów; a w ka-

*) Najlepszy wybór utworów Belloca wydała Everyman's Library, 1938, nr 948.

talogu British Museum pod nazwiskiem Belloca znajduje się około 250 tytułów (razem ze studiami o nim samym).

Jako najbardziej charakterystyczne utwory Belloca można wymienić: biografie: „Danton“ (1899), „Cromwell“ (1934), „The Path to Rome“ (1902), autobiograficzny opis wypełnienia ślubów, książka często przedrukowywana, „Cautionary Tales“ (1907), dziś niemal klasyk „literatury nonsensu“ tak typowej dla Anglii, oraz ze zbiorów essayów: „On Nothing“, „On Everything“, „On“. Wśród prac poświęconych zagadnieniom politycznym, szczególnie przewidująca i słuszna okazała się „The Servile State“ (1912). O miastach polskich (jak Kraków, Warszawa, Poznań) pisał Belloc w zbiorze pt. „Places“ (1942), są to wrażenia z podróży, podbudowane wiedzą historyczną i umiłowaniem różnorodności w europejskiej cywilizacji.

Polskę odwiedził Belloc trzy razy, w tym raz w okresie niepodległości (Warszawę poznał już w 1912 r., kiedy udał się szlakiem napoleońskim, aby odświeżyć zebrane materiały historyczne wrażeniami turysty).

Co przetrwa z dzieł Belloca w literaturze angielskiej? Nawet teraz, po śmierci wielkiego pisarza, trudno dać ostateczną odpowiedź. Niewątpliwie jego rewizjonizm historyczny będzie nadal wydawał owoce w pracach młodych naukowców. Belloc starał się przywrócić właściwe rysy tradycji angielskiej, rozedrzeć uprzedzenia i sięgnąć do podstaw cywilizacji brytyjskiej. To co drażniło u polemisty, dziś przejmuje bez gniewu czytelnik nowych prac o XVI i XVII wieku, bardziej jeszcze udokumentowanych, w których jednak zasadnicze tezy Belloca pozostały. (Belloc nie był pedantem, ale co najważniejsze „nie popełnił ani jednego błędu w istotnych sprawach historii“ — tak napisał o nim ostatnio młody historyk brytyjski.)

Chociaż mniej znany zagranicą niż Chesterton, Belloc wywarł niewątpliwie głębszy wpływ na ruch katolicki we własnym kraju, niż autor „Napoleona z Notting Hillu“. Obrona prawa do własności, namiętne przeciwstawianie się kapitalizmowi państwowemu w każdej formie, miłość do pokrzywdzonych narodów, ciekawość wobec różnorodnych zjawisk kultury — te cechy twórczości Belloca zapewniają mu poczytność na pokolenia. Jego jędrna proza, prawdziwe poczucie humoru, ironia polemisty i tolerancja człowieka wierzącego spotkały się w stylu, który zaiste był odbiciem osobowości Belloca. I ten styl właśnie nie stracił nic na świeżości.

Nie zrobił Belloc majątku na literaturze, ale sukces życiowy był mu raczej obojętny. Największe sprawy życia często mają pozory klęski.

„He was extremely unsuccessful, too:
The Devil didn‘t like Him, and He died.“

Tak pisał Belloc o Chrystusie w „Ballade of Unsuccessful Men“.

Jednej rzeczy nie potrafił Belloc tolerować w pisarstwie: nudy. Sam, w rozmowie i w literaturze, był jej zaprzeczeniem. Pobożnym nudziarzom, którzy wciąż upierają się przy ziewającej metodzie w propagowaniu własnych przekonań, należy polecić dowcipny essay Belloca pt. „A Guide to Boring“: jak nudzić najskuteczniej.

Z licznych wierszy Belloca, modlitw, liryk i fraszek, prawie każdy czytający Anglik zna „Tarantellę“, bez której nie może się obejść żadna antologia. W tym utworze humor, patos liryczny i dobra obserwacja szczegółu zrosły się w całość rytmiczną, niepowtarzalną, jedyną dla tego właśnie układu wrażeń. Chociaż drukowaliśmy już ten utwór (w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza), powtarzamy go raz jeszcze na łamach „Myśli“: „Tarantella“ powie więcej o Bellocu, niż najbardziej faktyczny artykuł dziennikarski. Ten przekład usprawiedliwia poniekąd druk okolicznościowej noty.

Co dzień patrzył Belloc na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, stojący w jego pokoju. O Niej napisał specjalny wiersz. Niech Go Patronka Jasnogórska dalej chroni — na niezmierzonych drogach wieczności.

n. n.

Tarantella

Czy pamiętasz tę gospodę,
Miranda?
Czy ją pamiętasz dziś?
To krzątanie, rozściełanie
Słomy śliskiej pod posłanie,
I te pchły, gdy wieczór zły — z pirenejskiej schodzi mgły,
I to wino co pachnie jak smoła?
Pośród krzyku — kpin bez liku, czy pamiętasz śmiech mulników,
(Winogradem ocieniona weranda)
Czy pamiętasz tę gospodę, Miranda?
Czy ją pamiętasz dziś?
Pośród krzyku — kpin bez liku, czy pamiętasz śmiech mulników.
Żaden nie miał ni szeląga.
Kto nie płaci, niech naciąga.
I trzask drzwi — i ten łoskot i gwar —
i — hip, hop, hip — w krąg,
Klaskanie rąk,
Wir — wirowanie, kolisty taniec,
Gdy dziw-dziewczyna
Ciało przegina —
Świetlisty chód —
To w tył, to w przód,
Trzask kastanietów w rytm śmigłych nóg,
Raz tu, raz tam — w miejscu, pod próg —
Brzęk, jęk i łza — dźwięczy i drga gitara!
Czy pamiętasz tę gospodę,
Miranda?
Czy ją pamiętasz dziś?

Nigdy już więcej. Nie.
Miranda.
Nigdy już nie.
Siwieją jeszcze szczyty we mgle.
Rwisty Aragon tuż u drzwi mknie.
Lecz żaden dźwięk
Wśród ścian nie gada, jeno cień pada
I ślad
Umarłych stóp — już spadł — gdzieś w lęk.
Lecz żaden dźwięk.
Tylko jeszcze z daleka echo Wodospadu
Szumi Zagładą.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

GŁOS AMERYKI

Tłumaczył niedawno temu, na wiosnę 1939 r., pewien generał amerykański, że w polityce światowej Ameryka z zasady boczy się na Wielką Brytanię, ale w końcu z zasady myśli brytyjskiej ulega. Było to rzeczywiście bardzo dawno; jak wiele się od tego czasu zmieniło.

Weźmy dla przykładu listę problemów tego zakresu, poruszonych przez ostatnio wydane kwartalniki obu państw, zajmujące się polityką międzynarodową*). Znajdujemy na niej sprawy poglądu na zasadę samostanowienia narodów czy też stosunku do zagadnienia „kolonializmu“, bo aż do tego stopnia splątały się pojęcia; wynikającą z tego problematykę polityki bieżącej w ONZ i w sprawach urządzenia politycznego wielu połaci świata; zagadnienia Chin; poglądu na konsolidację Europy. Trudno, nawet nie podobna przypuścić, aby Ameryka dzisiejsza gruntownie odmieniona dzięki uzyskanej potędze, miała w tych sprawach pójść za głosem angielskim. Poczyni, być może pewne kompromisy, ale na ogół narzuci niejako z musu, własne kierownictwo.

Idea samostanowienia, powiada Eagleton, amerykański profesor prawa międzynarodowego, niebywale zdegenerowała się od czasu Wilsona i zeszła obecnie na usługi ruchu „antykolonialnego“. Idea ta w ogóle nigdy nie została prawnie zdefiniowana, lecz według powszechnego poczucia odnosiła się do dojrzałych narodów, oznaczała minimalnie prawo do autonomii i ochrony, maksymalnie do całkowitej niepodległości. Dziś pojmuje się te pojęcia jedynie tylko w maksymalnym znaczeniu i odnosi się nie tylko do narodów, ale do szczepów i grup dalekich od dojrzałości fizycznej i psychicznej. W konsekwencji powstał bigos, nie wiadomo komu prawo to się należy, ani przy jakich kwalifikacjach i warunkach. Szczególnie nierozsądny jest prąd potępiania w czambuł państw zarządzających koloniami, choć dopomogły one w ostatnim dziesięcioleciu do uzyskania samodzielności przynajmniej 500 milionom ludzi, których przedtem odpowiednio do tego przygotowały. Głównym obowiązkiem ONZ powinna być troska o dobro całej społeczności, nie zaś produkcja tworów państwowych niezdolnych do życia i podejmowania wspólnej odpowiedzialności. Eagleton poprzestaje na tym bardzo niezupełnym poruszeniu zagadnienia i kończy rzecz surowym napomnieniem polityki amerykańskiej w tej sprawie, wytykając niekonsekwencje i błędy, choć i admirując stałość dobrych intencji.

Apel Eagletona, daleki od wyczerpania zagadnienia choćby tylko pod względem teoretycznym, idzie na rękę myśli politycznej brytyjskiej (także innych państw „kolonialnych“) i może zdoła przyczynić się do zwolnienia tempa likwidacji pracy cywilizacyjnej Zachodu, szczególnie w obszarach południowych wybrzeży Morza Śródziemnego, likwidacji silnie wspieranej przez milczącą aprobatę Ameryki.

Nie ulega wątpliwości, że tempo to w obecnym położeniu jest zbyt szybkie i groźne dla obrony świata wolnego. Zbliża się na przykład konieczność załatwienia sprawy Kanału Sueskiego. Profesor Collège de France, André Siegfried oburza się słusznie na myśl, że Kanał, wspaniałe dzieło cywilizacji zachodniej, ważna część maszynerii życia międzynarodowego, może dostać się w ręce Egipcjan nie dorosłych do wielkiego zadania opieki nad nim. „Ani Lesseps, ani jego bezpośredni spadkobiercy, zauważa Siegfried, nie mogli byli przewidzieć położenia w jakim znajdzie się Kanał, bo istotnie atmosfera międzynarodowa ich czasów była nieskończenie bardziej cywilizowana niż dzisiejsza.“

Wydaje się, że myśl o rezygnacji z Kanału powoli dojrzewa. Daje temu wyraz profesor geografii uniwersytetu londyńskiego W. Gordon East, sugerujący podjęcie reorganizacji systemu obronnego Wielkiej Brytanii na Środkowym Wschodzie w oparciu o drogę morską dokoła Afryki, jako w gruncie rzeczy bezpieczniejszą od śródziemnomorskiej. Byłaby to według niego, obrona w głąb mająca na zapleczu Ocean Indyjski, za którego plecami leży dwie trzecie obszaru Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Zatokę Adeńską i wąskie wejście do Morza Czerwonego można by tam zabezpieczyć z pobliskiej Kenii, połączonej z Afryką zachodnią drogami lądowymi i powietrznymi, a użytej jako baza zaopatrzeniowa; Zatokę Perską można by trzymać przy pomocy wysuniętych baz w Iraku. Potrzebna byłaby do tego współpraca Pakistanu, Indii i Cejlonu. „Ugrupowanie takie, pisze East, zmusi napastnika ciągnącego z północy do wydłużenia jego linii komunikacyjnych przez tereny bardzo trudne, osłoni zagłębia naftowe Iraku i Zatoki Perskiej, umożliwi wykorzystanie panowania nad morzami dla przesuwania ludzi i materiału do odpowiednich obszarów.“ Prócz stworzenia w ten sposób solidnej obrony zyskiwałoby się naturalną przegrodę obszernego pasa pustynnego, dzielącą Afrykę i subkontynent indyjski od Sowietów. Ludom tego pasa mogłyby obie strony dać wolną rękę w rozwoju politycznym i udzielić pomocy dla rozwoju ekonomicznego. Ropa tego obszaru mogłaby być zbywana zarówno za dolary, jak i za ruble.

Zanimby do takiej gruntownej reorganizacji doszło, a opuszczenie Egiptu więc i odsłonięcie wschodniej flanki frontu obronnego NATO stało się przedtem konieczne, przednie pozycje obrony trzeba by planować w Turcji, Jordanie, na Cyprze, Krecie i w Trypolitanii przy współpracy państw arabskich i Izraela. Jeśli uzyskanie tej współpracy nie byłoby możliwe, to na-

*) **Foreign Affairs**, An American Quarterly Review. Nowy Jork, lipiec, 1953, tom 31, zeszyt 4. Zawiera artykuły: J. R. Oppenheimer: „Broń atomowa a polityka amerykańska“; G. F. Hudson: „Czy Wielka Brytania i Ameryka poróżnią się z powodu spraw azjatyckich?“; Bertram D. Wolfe: „Walka sukcesyjna w Sowietach“; Peter Wiles: „Sowiety wyprzedzają Zachód pod względem gospodarczym“; L. B. Pearson: „Horyzont północny Kanady“; Clyde Eagleton: „Nadużycie prawa samostanowienia“; André Siegfried: „Suez i szlak międzynarodowy“; W. Gordon East: „Nowa Zelandia a problemy Pacyfiku“; Lawrence Fernsworth: „Hiszpania w obronie Zachodu“; J. W. Bellantine: „Przyszłość wysp Ryukyu“.

International Affairs, Royal Institute of International Affairs. Londyn, lipiec, 1953, tom 29, zeszyt 3. Zawiera artykuły: G. M. Gathorne-Hardy: „Monarchia demokratyczna“; N. Mansergh: „Brytyjska Wspólnota Narodów w dobie wstąpienia na tron królowej“; Lord Layton: „Mała Europa a Anglia“; Sir John Slessor: „Miejsce bombowca w polityce brytyjskiej“; Graham Spry: „Przemiany gospodarcze na prerii kanadyjskiej“; T.F.C. Bewes: „Praca kościoła chrześcijańskiego wśród Kikuyu“; brygadier S. Longrigg: „Upadek wpływów Zachodu na Środkowym Wschodzie“.

leżałoby zwrócić uwagę na przygotowanie do obrony Turcji południowo-wschodniej, zagradzającej historyczny szlak inwazji do Syrii, a także na przygotowanie obronne Izraela, kto wie czy nie łącznie z przekopaniem nowego kanału przez zachodnio-południowy skraj tego kraju.

Nie wdając się w analizę projektów Easta trzeba zaznaczyć, że nasuwają sporo wątpliwości i wykazują szereg luk i niejasności. Najgorszy w nich jest duch defetyzmu, podsuwający myśl o dalszym i głębszym jeszcze dzieleniu świata na sfery wpływów.

Ale obok sprawy zasadniczej pozostaje w razie rezygnacji ze Śródziemnomorza, szereg kwestii szczegółowych, które domagają się załatwienia. Na przykład jakby się to odbiło na planowaniu wciągnięcia Hiszpanii do struktury polityczno-strategicznej, do czego dąży Ameryka?

Problem Hiszpanii, jak się to okazuje z rozprawy L. Fernswortha b. korespondenta „Timesa“ z Madrytu, to nie tylko problem polityczny, ale także i w równej mierze ekonomiczny. Hiszpania bowiem jest krajem niebywale słabym ekonomicznie i wojskowo. Wysiłek postawienia tego państwa na nogi wymagałby pracy od podstaw, musiałby potrwać 4 do 6 lat i kosztować (oczywiście Stany Zjednoczone) kilka miliardów dolarów. Podjęcie tego wysiłku jest jednak dla obrony konieczne. Tymczasem praca nad Hiszpanią, jak i nad wieloma innymi problemami szczególnymi nie godzi się z prospektami rezygnacji ze Śródziemnomorza, wynikającymi z kolei z nastawienia „antykolonialnego“. Wydaje się zatem, że życie zmusi Amerykę do kompromisowego wyrównania poglądów z Wielką Brytanią na sprawę „self-determination“ i że w tym punkcie przeważy jeszcze, choćby na czas jakiś, myśl brytyjska.

Możliwość taka nie istnieje w sprawie chińskiej. Rozdźwięk między Wielką Brytanią a Ameryką w podejściu do problemów Dalekiego Wschodu spowodowała geografia i historia, nie zaś przejściowa gra polityczna. U podstaw dalekowschodniej polityki brytyjskiej leżała i leży zasada niedopuszczania nawet za cenę wielkich ofiar materialnych i prestiżowych, do uwikłania się w konflikty wymagające odciągnięcia sił z obszarów bliższych i ważniejszych dla Wielkiej Brytanii, a więc po pierwsze z obszaru Europy, po drugie z obszaru Środkowego Wschodu. Lista interesów amerykańskich różni się znacznie; dla Ameryki, mimo że Pacyfik jest szerszy od Atlantyku Azja jest ważniejsza niż Europa. Rozprawa z Japonią była dla Anglików rzeczą raczej drugorzędną, dla Amerykanów co najmniej jednorzędną z wojną w Europie. Ameryka czuje się poniekąd odpowiedzialna za los Chin. Klęskę Chin narodowych chociaż sama się do niej również przyczyniła, przyjmuje częściowo i za porażkę własną poniesioną z rąk komunistów. Stąd nie może uznać obecnego stanu rzeczy w Chinach za nieodwracalny. Zgoła inaczej Brytyjczycy: nie odczuwają porażki, bo nie brali w sprawach chińskich udziału; nie są rozczarowani powojennym obrotem rzeczy, bo niczego nie oczekiwali od tego kraju; nie lubią nowego reżimu chińskiego, ale sądzą, że ma on cechy trwałości i dlatego powinien być uznany. To nastawienie uczuciowe odpowiada interesom strategicznym. Gdy Ameryka w wypadku nowej wojny będzie musiała mieć z natury rzeczy dwa fronty: jeden europejski, drugi dalekowschodni, na którym będzie musiała walczyć raczej w pojedynkę, to Wielka Brytania będzie mogła ograniczyć się do walki jedynie na swych tradycyjnych teatrach wojny i nie będzie na nich osamotniona. Co prawda zagrożenie Europy jest śmiertelne, stąd łatwo zrozumieć tak znaczny opór jej przeciw wszystkiemu, co mogłoby pozbawić ją pomocy amerykańskiej. Ale też i w Wielkiej Brytanii powinno znaleźć się pełne zrozumienie dla motywów polityki amerykańskiej i mniejsze dawanie ucha doradcom Indii, które zaczynają być szkodliwe. Rosja dostrzega, że presja wywierana przez nią w Azji powoduje wzrost różnic między Anglią a Ameryką i dlatego stara się być układna w Europie, a zaczepna w Azji. Obaj sojusznicy nie powinni jednak dać się nabrać na tę grę.

O ile w problemie chińskim ulepszenie kooperacji sojuszniczej zależy od jego głębszego zrozumienia, o tyle w następnym, to jest w problemie polityki atomowej zależy ono od podniesienia kurtyny tajemniczości jaką Ameryka osłoniła sprawy atomowe. Zarówno J. R. Oppenheimer b. prezes komitetu doradczego amerykańskiej Komisji Energii Atomowej, jak i marszałek RAF-u Sir John Slessor są zdania, że nadszedł czas na pełne uświadomienie atomowe rządów sojuszniczych i ich narodów. Nieprzyjaciel i tak wie niemal wszystko, dodatkowe więc uświadomienie go o grozie atomowej wcale nie zaszkodzi. Nie mając miejsca na streszczanie argumentacji obu pisarzy chciałbym jedynie zaznaczyć, że z rozpraw ich bije niezamierzona zapewne pewność nie tylko natychmiastowego użycia broni atomowej w razie agresji przeciwnika, ale i skuteczności tej broni w jego powaleniu. Obok tego wyziera również troska związana z ryzykiem spowodowanym brakiem własnej obrony atomowej, zwłaszcza w Europie. Artykuł Oppenheimera brzmi bardzo dramatycznie i powinien być uważnie studiowany.

Na zakończenie pragnę zanotować, że Peter Wiles formułuje tezę, iż pod względem wzrostu potencjału ekonomicznego czas pracuje na korzyść Rosji, której produkcja przemysłowa i rolnicza zwiększa się szybciej niż produkcja świata wolnego. Zrównanie się rozmiaru produkcji podbitej Europy wschodniej z produkcją Europy wolnej nastąpić ma za lat 20 do 28, takież zrównanie się Rosji z Ameryką za lat 50. Nastąpi to oczywiście jedynie wtedy, gdy nie zajdą okoliczności nieprzewidziane, jak na przykład możliwe ujarzmienie energii atomowej albo już rozwijający się niebywale rozrost ekonomiczny Kanady. Temu ostatniemu zjawisku poświęcają oba kwartalniki bardzo ciekawe artykuły.

Rozważając wszystkie te sprawy, wielu nie zdołałem tu poruszyć, dochodzi się do przekonania, że kierownictwo Ameryki choć jeszcze często niekonsekwentne i nie dosyć zdecydowane, zaznacza się coraz powszechniej.

T. W.

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

EPITAFIUM

Tobie ojcze coś gniew mi dał
i miłością natchnął
hymn na chwałę
jak obelisk ciosan gładko

Tobie coś w cieniu swych warg
z przodkami mnie spotkał
ten pomnik niechaj trwa
cześć i pamiątka

czas żaden ani wiek
ani zmiennej fortuny koło
miejsca gdzieś legł
poruszyć nie zdoła

to nie sandomierskiej ziemi kawał
biblioteki — myśli cmentarze
Tobie coś czułość wszystką zawarł
w słowie, grobem są wszakże

nie miną z czasem i ziemią
ale bogom równe
pośród gwiazd zajaśnieją
twą zdobiąc trumnę

nie w granit nie w dyament w słowo
z wszystkiego najtrwalsze
Imięm Twe wkował
na zawsze

niech ci szumi łan wierszy
własny, choćby i gorzki
z wszystkich niech trosk uleczy
mądre niebo książki
Ojcze

JEDEN HITLER WYSTARCZY

Douglas Reed: THE PRISONER OF OTTAWA: OTTO STRASSER. Jonathan Cape. Londyn 1953. Stron 272.

Reed jest pisarzem niekonwencjonalnym idącym z upodobania pod prąd. Jest wszakże bystrym obserwatorem umiejącym dostrzec wśród wirów współczesnego życia jego zasadniczy, głęboki nurt. W zasadzie samouk potrafił wybić się w świecie dziennikarskim i przez długie lata był korespondentem zagranicznym „Timesów" w Berlinie i w innych stolicach środkowo-europejskich. Książki jego, z których najbardziej znane to „Insanity Fair", „Disgrace Abounding" i „Lets We Regret", znalazły szeroki oddźwięk i znajdowały wielu chętnych czytelników. Treścią ich było przeobrażanie się świata współczesnego, wnioski — bardzo krytyczne i pesymistyczne.

Popularność książek Reeda oparta jest na oczywistej dobrej woli, uczciwości sądów i gorącej, namiętnej żądzy sprawiedliwości w stosunkach ludzkich, społecznych i politycznych. Wykrywa on i demaskuje fasz i obłudę, staje w obronie słabego i uciskanego, apeluje do instynktów zdrowych i czystych. Reed lubi jednak upraszczać koncentrując się na jednej idei, jednym zagadnieniu, zapominając niekiedy o tle, powiązaniach i skutkach.

Ostatnia książka, o której teraz piszemy, potwierdza ten sąd. Reed występuje w obronie dra Ottona Strassera, byłego narodowego-socjalisty, a następnie przeciwnika Hitlera. Jest to już druga jego książka o Strasserze (pierwsza ukazała się w 1940 r.). Reed zna Strassera dobrze, miał z nim kontakty w czasie swego pobytu w Niemczech. Biografia ma subiektywne, apologetyczne zabarwienie. Barwne życie i przygody człowieka odważnego, zapobiegliwego i przedsiębiorczego, człowieka żyjącego dla swej misji, ponoszącego dla niej ofiary — a takim człowiekiem jest niewątpliwie Otto Strasser — oczywiście przedstawiają znakomity temat książki w rękach zdolnego pisarza. Reed umie wzbudzić sympatię dla człowieka prześladowanego przez los i potężnych przeciwników (w tym Hitlera), zmuszonego do ucieczki z kraju, któremu uniemożliwia się powrót do ojczyzny i rodziny.

Strasser bowiem znalazł się w 1940 r. we Francji i ledwie uniknął ujęcia przez władze okupacyjne lub francuskie (te ostatnie zobowiązały się wydać Strassera figurującego na pierwszym miejscu listy niemieckich żądań ekstradycji). Przez Portugalię i Bermudy dotarł do Kanady. Pierwotnie traktowany z atencją i życzliwością przez władze tamtejsze, następnie, rzekomo po odrzuceniu oferty współdziałania z Moskwą skazany został na bezczynność polityczną. Po klęsce Niemiec hitlerowskich daremnie stara się o zgodę władz na swój powrót do kraju. Był on między innymi na czele „czarnej listy" osób, którym władze alianckie odmawiały wiz podróżnych. Generał Lucius Clay, wysoki komisarz amerykański w Niemczech w 1949 r. wspomniał o „niecnym" (infamous) „czarnym froncie" (organizacji Strassera).

Reed daje do zrozumienia, że Strassera traktuje się tak niesprawiedliwie, ponieważ w kołach urzędowych Zachodu ukryte wpływy komunistyczne działają w tym kierunku. Interpretacja ta wydaje się niesłuszna, szczególnie jeśli chodzi o Amerykę po zwycięstwie republikańskim, które wzmogło czujność na punkcie niebezpieczeństwa komunistycznego.

Przypuszczać raczej należy, że przyczyną, dla której rządy zachodnie starają się udaremnić czy opóźnić powrót Strassera do Niemiec jest obawa przed wzmożoną agitacją nacjonalistyczną, która niewątpliwie skupiłaby się dokoła Strassera. „Od Akwizgranu do Bytomia, od Saary do Kłajpedy" — w tym haśle mieści się program zjednoczeniowy Strassera. W książce wydanej w czasie wojny w 1940 r. pt. „Germany Tomorrow" Strasser omawiając stosunki polsko-niemieckie domaga się rozwiązania sprawy „korytarza" po myśli niemieckiej, to jest efektywnego zabezpieczenia połączenia Niemiec z Prusami Wschodnimi w drodze cesji terytorialnej północnej części „korytarza", czyli właściwie całego przedwojennego Pomorza polskiego.

Strasser w pewnych kołach niemieckich i zagranicznych uważany był, a może jest, za niezmiernie zdolnego organizatora i przywódcę, który mógłby w krótkim czasie porwać za sobą masy niemieckie, stęsknione za nowym wodzem. Strasser jest więc materiałem na drugiego Hitlera. Trudno się dziwić Zachodowi uważającemu, iż jeden Hitler na pokolenie — to więcej niż można strawić.

(m. ost.)

WARSZAWA I DWÓR ŚW. JAKUBA

DIPLOMATIC VENTURES AND ADVENTURES. Some Experiences of British Envoys at the Court of Poland. By Count Renaud Przeździecki, author of „Varsovie" and „Diplomatie et protocole a la cour de Pologne". With a preface by Violet Markham, C.H., D. Lit., LL.D. Published by The Polish Research Centre. Londyn 1953. Stron 262, z 28 ilustracjami. Cena 15/-.

Obszerne studium byłego szefa protokółu dyplomatycznego, Rajmunda Przeździeckiego, o stosunkach dyplomatycznych polsko-angielskich, a raczej o misjach dyplomatycznych brytyjskich w Polsce od czasów najdawniejszych do rozbiorów, ma swój początek w studiach nad protokołem dyplomatycznym dawnej Polski, których owocem była dwutomowa praca „Diplomatie et protocole a la cour de Pologne", wydana w Paryżu w latach 1934-37. Wśród opisywanych w tej pracy wydarzeń dyplomatyczno-protokolarnych poczesne miejsce zajmowały sprawy związane z wcale licznymi i poważnymi misjami z Dworu św. Jakuba.

Wypadki drugiej wojny światowej rzuciły byłego szefa protokołu dyplomatycznego z Pałacu Bruehla do Sztokholmu. Archiwa szwedzkie, wciąż nie w pełni wyzyskiwane przez badaczy zarówno zachodnio-europejskich jak i polskich, są nader obfite. W czasie pierwszej wojny światowej losy rzuciły do Sztokholmu znakomitego historyka Władysława Konopczyńskiego. Owocem tego przypadku było poważne wzbogacenie polskiej wiedzy historycznej o wiekach XVI—XVIII. Dla stosunków polsko-brytyjskich archiwa sztokholmskie są szczególnie ważne. Polska bowiem istniała dla Anglików, jeśli nie wyłącznie to prawie wyłącznie jako państwo bałtyckie. Niezmiernie charakterystyczne pod tym względem jest świadectwo Szekspira: jedyny raz gdy Polacy występują w jego sztuce, a mianowicie w „Hamlecie", są oni tam rywalami Duńczyków. Polityka polska Westminsteru była częścią, i to częścią najważniejszą, jego polityki bałtyckiej. Polityka polska i polityka szwedzka Anglii były jak najściślej z sobą powiązane. Nie dziw więc, że p. Przeździecki natrafił na bogate zbiory dokumentów dyplomatycznych polsko-angielskich w Szwecji. Pozwoliło mu to wyjąć z dawnej pracy epizody brytyjskie, uzupełnić je nowymi fragmentami i wydać jako osobną książkę.

Historia stosunków dyplomatycznych angielsko-polskich zaczyna się właściwie dopiero z chwilą gdy Polska

odzyskuje dostęp do Bałtyku w XV wieku. Jest to właśnie okres, jedyny w dziejach, gdy Morze Bałtyckie grało wielką rolę w stosunkach międzynarodowych. W poprzednim okresie, od czasów starożytnych, morzem najważniejszym przede wszystkim pod względem gospodarczym, ale także i pod względem wymiany kulturalnej było Morze Śródziemne, wedle którego do dziś liczymy długość i szerokość geograficzną. Dopiero upadek Konstantynopola w r. 1453 (w tym samym roku Polska odzyskuje Gdańsk) stanowi wyraźny koniec tej epoki. Świat muzułmański prowadzony już nie przez kulturalnych i kupieckich Arabów, lecz przez wojowniczych Turków, odgrodził się od Europy. Ameryka nie była jeszcze odkryta, a nawet po wyprawie Kolumba przez długie jeszcze dziesiątki lat zbyt mało była skolonizowana i zbyt słabo powiązana komunikacyjnie z Europą, by Atlantyk mógł przejąć rolę Morza Śródziemnego w dziejach świata naszej cywilizacji. Ten okres pomiędzy upadkiem handlu śródziemnomorskiego i pełnym rozwojem handlu atlantyckiego jest okresem predominacji handlu bałtyckiego. Do Niemiec, Anglii, Niderlandów, a nawet i bardziej na południo-zachód położonych krajów europejskich z Bałtyku szedł budulec okrętowy, smoła, ziarno. Stolicą Hanzy nie przez przypadek był port bałtycki — Lubeka. Rywalizacja angielsko-holenderska miała swe źródło w walce o przewagę w handlu bałtyckim.

Na Polskę zwraca oczy Anglia pierwszych Tudorów. Jest ona wyniszczona Wojną Dwóch Róż, nie wzbogacona jeszcze przemysłem ani handlem. Król Aleksander Jagiellończyk odrzucił, jak wspomina p. Przeździecki, ofertę sojuszu z Anglią, gdyż „to królestwo jest w stanie ciągłej rewolucji". Wkrótce jednak stosunki się zmieniają, kupcy angielscy osiadają na polskim wybrzeżu, zaczyna się ożywiona wymiana gospodarcza. Wraz z nią ożywiają się i stosunki kulturalne, których pięknym przykładem jest korespondencja humanistów polskich i angielskich.

Trzy były trudności w stosunkach polsko-angielskich: pierwszą była zazdrość Gdańska o monopol eksportu i importu morskiego z Polski; drugą ponawiające się próby angielskie nawiązania stosunków handlowych z Moskwą przez Bałtyk; trzecią różnice religijne. Te ostatnie nie grały roli decydującej za Henryka VIII czy Elżbiety, z chwilą jednakże gdy dyktator Cromwell działać zaczął jako głowa obozu protestanckiego w Europie, jedyny bodaj z władców Anglii przedkładający sprawy doktrynalne ponad doraźny interes państwowy, stosunki wybitnie się popsuły. Polska zapełniła się uchodźcami politycznymi i religijnymi z wysp brytyjskich, głównie ze Szkocji, Jan Kazimierz nie uznał wygnania Stuartów, a reszty dopełnił sojusz Cromwella ze Szwedami i Kozakami. Restauracja Stuartów powitana była w Warszawie entuzjastycznie, w rokowaniach przed pokojem oliwskim dyplomacja brytyjska gra rolę mediacyjną, a wnet następuje wznowienie dobrych stosunków politycznych. Ponowne wygnanie Stuartów powoduje zerwanie stosunków dyplomatycznych, gdyż Sobieski uznaje wygnańczy dwór w Saint Germain i, podobnie jak przed nim Jan Kazimierz, nakłada na przebywających w Polsce Brytyjczyków specjalny podatek na fundusz walki o przywrócenie prawowitej dynastii.

Nie jest zadaniem niniejszej recenzji streszczanie dziejów stosunków angielsko-polskich od czasów kontaktów Chrobrego z Ethelredem po ostatnie rozpaczliwe wysiłki Stanisława Augusta uzyskania poparcia angielskiego. „Diplomatic Ventures and Adventures" ujmują zresztą jedną tylko stronę tych stosunków, mianowicie misje brytyjskie do Polski, nie poruszając niemal drugiej strony to jest misji polskich do Anglii, z najbardziej znanym poselstwem Jerzego Ossolińskiego, późniejszego kanclerza, do Jakuba I, opisanym przezeń barwnie i szczegółowo w pamiętniku, którego nowe wydanie ukazało się w ubiegłym roku nakładem wrocławskiego „Ossolineum".

Książka Rajmunda Przeździeckiego przetłumaczona jest doskonale na angielski przez ks. Aleksandrostwo Sapiehów. Poprzedza ją przedmowa Violet Markham. Wydanie „Polish Research Centre" zasługuje na wszelkie pochwały: znaczna ilość dobrych ilustracji w tekście, ładny druk, dobry papier, staranna oprawa (mniej staranna w kilku miejscach korekta), dwubarwna obwoluta ze stylowym sztychem — składają się na całość reprezentacyjną i zachęcającą. Zasługą natomiast samego autora jest zaopatrzenie książki w podnoszące jej wartość uzupełnienia, jak tabela chronologiczna, przypisy do poszczególnych rozdziałów, indeks nazwisk i nazw.

Tytuł książki jest skromny, wskazujący, że autor zdawał sobie sprawę, iż daleki jest od wyczerpania tematu stosunków dyplomatycznych polsko-brytyjskich bodaj w zarysie. Ograniczywszy zakres swych ambicji do jednego tych stosunków aspektu, najbliżej leżącego jego zamiłowań i doświadczeń, dał pracę rzetelną, która spełniać będzie rolę „reference book" w bibliotekach brytyjskich. Prawie każdy historyk dyplomacji angielskiej XVI—XVIII wieku będzie musiał do niej zajrzeć. Polski zaś czytelnik znajdzie w niej mnóstwo interesujących, niespodziewanych, a nierzadko i zabawnych informacji i anegdot historycznych.

w.

SŁUGA BOŻY CIEPLAK

SŁUGA BOŻY KS. JAN CHRZCICIEL CIEPLAK ARCYBISKUP WILEŃSKI. Opracował ks. Franciszek Domański S.J. New Britain, Connecticut 1953. Stron 40.

Arcybiskup Cieplak jest jedną z najwymowniejszych postaci naszej epoki. Urodzony w r. 1857 jako syn górnika z Dąbrowy Górniczej, wstąpił w r. 1873 do seminarium duchownego w Kielcach. Wysłany następnie do Akademii Duchownej w Petersburgu (zastępującej wydział teologiczny dla księży katolickich z całej ówczesnej Rosji) nie miał wrócić do kraju aż dopiero pod sam koniec długiego życia. W r. 1908 zostaje sufraganem diecezji mohylewskiej, a później jej administratorem. Była to największa pod względem obszaru diecezja katolicka w świecie, sięgająca od kresów wschodnich Polski po Ocean Spokojny, Ocean Lodowaty i granice Chin. W swoich wizytacjach pasterskich arcybiskup Cieplak dociera aż do Mandżurii i był jedynym biskupem katolickim, który odbył wizytację kanoniczną Syberii. Stojąc na czele Kościoła starał się służyć wszystkim swoim diecezjanom — nauczył się m. i. biegle mówić nawet po łotewsku.

Człowiek rzeczywiście świątobliwego życia i wielkiego serca zdobył sobie szczególną miłość setek tysięcy Polaków ewakuowanych przymusowo przez Rosjan na wschód w czasie pierwszej wojny światowej, roztaczając nad nimi opiekę zarówno duchową, jak i materialną.

Najpiękniejsza jednak karta w życiu śp. Cieplaka, to okres rewolucji bolszewickiej. Zachowywał się wobec terroru i prowokacji, wobec tortur i szantażu z godnością i niezłomnością apostołów i męczenników chrześcijańskich pierwszych wieków. Trzykrotnie aresztowany i więziony przez Czerezwyczajkę, został wreszcie wraz z grupą księży postawiony przed sądem bolszewickim w jednym z pierwszych procesów pokazowych na Wielkanoc 1923 r. Z wielkim spokojem i łagodnością zaprzeczał fałszywym oskarżeniom, potwierdzał prawdy wiary chrześcijańskiej. Skazany na śmierć wraz z ks. prałatem Budkiewiczem, korzystając z ostatniego słowa udzielił obecnym błogosławieństwa pasterskiego. Większość sali padła na kolana, czekiści wyprowadzili siłą skazanego, nie dając mu dokończyć błogosławieństwa. Ks. Budkiewicz został rozstrzelany, arcybiskupa Cieplaka, pod naciskiem państw zachodnich, zamiast zabić bolszewicy skazali na wygnanie,

to znaczy wywieźli go na granicę łotewską i tam zostawili samego.

Powrót arcybiskupa Cieplaka do Polski zamienił się w przejazd triumfalny. Z Warszawy przez pół Europy, wszędzie witany entuzjastycznie udał się do Rzymu, gdzie Pius XI uściskał go płacząc.

Z Rzymu pojechał na ciężką pracę propagandową do Stanów Zjednoczonych. W ciągu trzech miesięcy wizytował 375 parafii polskich, wygłaszając po parę kazań dziennie. Bezpośrednim skutkiem pobytu arcybiskupa Cieplaka było zahamowanie rozwoju tak zwanego Kościoła Narodowego wśród Polonii. Wytężona misja kosztowała Arcypasterza drogo. Zaniemógł i nominacja na arcybiskupa-metropolitę wileńskiego zastała go na łożu śmierci. Zmarł w opinii świętości 17 lutego 1926 r. w mieście Passaic.

28 czerwca 1952 r. rozpoczął się w Rzymie proces informacyjny w sprawie świętości Sługi Bożego Jana Chrzciciela Cieplaka. Obok komitetu postulacyjnego w Rzymie powstał wicekomitet w kraju zgonu Arcybiskupa to jest w Stanach Zjednoczonych. Broszura ks. Domańskiego jest jednym z przejawów jego działania.

O. MORAWSKI

Devotus Discipulus: KS. M. I. MORAWSKI, T. J. JAKO FILOZOF (1845 - 1901). Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas". Londyn 1953. Stron 47.

Bardzo dobrze zrobił duchowny ukrywający się skromnie pod pseudonimem „Oddanego ucznia" przypominając wybitną postać polskiego teologa z końca ubiegłego stulecia, o. Mariana Ignacego Morawskiego. Znany on jest najszerzej z popularyzatorskich a pełnych talentu „Wieczorów nad Lemanem", był jednak autorem również bardziej zasadniczych dzieł jak „Filozofia i jej zadanie", „Celowość w naturze" czy „Podstawy etyki i prawa". Ponadto był założycielem i redaktorem przez lat kilkanaście wychodzącego w Krakowie aż do ostatniej wojny jezuickiego „Przeglądu Powszechnego", najpoważniejszego polskiego miesięcznika religijno-społecznego.

Pisma o. Morawskiego odznaczają się szerokością horyzontów, gruntownym krytycyzmem, jasnością i elegancją stylu. Jedną z ciekawszych jego myśli jest analiza upadku filozofii w końcu XIX wieku.

Największą zasługę w zapoczątkowaniu odrodzenia myśli scholastycznej (czyli jak dziś się utarło mówić — tomistycznej) w XIX wieku przypisuje o. Morawski Polakowi, Alojzemu Dmowskiemu, autorowi „Institutiones Philosophicae" i wykładowcy filozofii w Collegium Romanum, skąd wyjść mieli najwybitniejsi teologowie-tomiści.

Z punktu widzenia współczesnych nam zainteresowań nauki ścisłej szczególnie interesujące jest dzieło Morawskiego o celowości w naturze.

Prócz trzech zasadniczych prac: o filozofii, o przyrodzie i o prawie wybitny ten myśliciel zostawił szereg mniejszych opracowań publicystycznych i apologetycznych. Spis ich znajduje się na końcu broszury Devoti Discipuli.

w.

POŻYTECZNE WZNOWIENIE

DZIECI POLSKIE W DAWNYCH CZASACH. 24 obrazki z dziejów naszych zebrał Władysław Bełza. Z 10 rysunkami Walerego Eljasza (Przedruk z wydania Gebethnera i Wolffa, Kraków 1907). Wydawnictwo „Veritas" (seria zielona). Londyn 1953. Str. 206.

Wypisy historyczne, które znaliśmy jako dzieci, na których uczyli się jeszcze nasi ojcowie dziejów ojczystych. Przyjemnie je zobaczyć, a jeszcze przyjemniej przeczytawszy przekonać się, że upływ lat nie naruszył ich wartości pedagogicznej ani czytelności. Tej książeczki naprawdę potrzeba dzieciom polskim na emigracji. Powinna się znaleźć w każdym polskim domu.

Książkę wydano nader starannie w płóciennej okładce ze złoceniami bardzo czytelnym drukiem z wbijającymi się w pamięć ilustracjami Eljasza. W formie osobnej ulotki dołączono doskonałą przedmowę dla rodziców i wychowawców pióra M. M.

Wydawnictwo zasługuje na jak najgorętsze polecenie.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

ZEBRANIA I ODCZYTY

W Tantown, Somerset, w Municipal Hall dn. 12 lipca p. Józef Werner mówił o obecnej sytuacji politycznej w Polsce na zebraniu miejscowego Towarzystwa Anglo-Polskiego. Po referacie prelegent odpowiadał na liczne zapytania. Przewodniczył zebraniu p. Howard Southwood, tłumaczył przemówienie z polskiego na angielski p. Auberon Herbert. Obecnych było około 200 osób, w tym połowa Anglików. O zebraniu ukazała się w lokalnym piśmie „Somerset County Gazette" obszerna notatka.

★

W Slough, Bucks, założono w dn. 18 lipca nowe Koło Stronnictwa Narodowego. Referat organizacyjny i polityczny wygłosił członek Wydziału Wykonawczego SN w Wielkiej Brytanii p. Jan Rożdżyński. Następnie nowo przyjęci członkowie złożyli ślubowanie organizacyjne. W części nieoficjalnej odbyła się towarzyska herbatka. W serdecznej atmosferze członkowie nowego Koła spędzili parę miłych godzin.

NA MARGINESIE

PROFESOR JARECKI

Ach, ta Ameryka! Dzielny dwudziestoletni Franek Jarecki, który uciekł na Migu z Polski przybył do Stanów Zjednoczonych już nie pilotujący, ale pilotowany przez „Lulu" Łubieńskiego, oficera do bardzo szczególnych zleceń Generalnego Inspektora SZ (in exile). Najpierw kazali mu być politykiem i wygłosić niezliczoną ilość przemówień. Potem zrobili z niego gwiazdora, publikującego podobizny w mundurze i w stroju adamowym, w towarzystwie hollywoodzkich Glamour Girls. Teraz zostaje naukowcem.

W komunikacie zasłużonego „Alliance College" czytamy (po cytacie z Paderewskiego i porównaniu Jareckiego do Kmicica), że młody lotnik zapisał się do tej szkoły. „Będzie on również ogromną pomocą dla Dziekana Jana Kolasy w wydziale studiów polskich... dzięki wojnie oraz dzięki postępom techniki, język polski nabrał pewnych form które są nie zupełnie znane poza krajem. Alliance College stanie się omal że jedyną instytucją naukową w Stanach Zjednoczonych w której nowe te formy będą odkryte studentom. Będzie to stanowić wielki wkład do wysokości poziomu na którym Alliance College szkoli znawców języka polskiego...".

Siur! Taki pajlot to więcej warta dla koledżu niż profesjonalny A-Class Footballer, nie?

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H.C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S.W. 11, tel. BAT 0879. 1 August 1953